

DWOJE PISARZY

Do Carla Brandta

" "

3 lutego 1951 r.

Załączam opowiadanie „Dwoje pisarzy”, przy którego pisaniu bardzo się dobrze bawiłem, chociaż zdawałem sobie sprawę, że nie ma ono żadnej wartości rynkowej — bez wątpienia ku naszemu wspólnemu żalowi. Czytając je wczoraj wieczorem doszedłem do wniosku, że mimo wszystko jest to niezły kawałek prozy. Oto więc...

DWOJE PISARZY

1

Choćby poprzedniego wieczoru był nie wiedzieć jak pijany, Hank Burton zawsze wstawał bardzo wcześnie i chodził boso po domu czekając, aż zaparzy się kawa. Zamykał drzwi do pokoju Marion, przytrzymując je palcem, kiedy zbliżały się do framugi, a następnie bardzo delikatnie puszczał klamkę, żeby nie rozległ się najłżejszy odgłos. Dziwiło go zawsze, że mu się to udaje i że ręce ani trochę mu się nie trzęsą, chociaż mięśnie łydek i ud drżą tak mocno, zęby wciąż szczękają, a w dołku okropnie mdli. Alkohol nigdy jakoś nie wywierał wpływu na jego ręce, rzecz szczególna a zarazem godna, więc co tam, reszta nie jest ważna.

Kiedy się kawa parzyła, w domu panowała cisza, z zewnątrz, spomiędzy drzew nie dochodziły żadne dźwięki, czasem tylko dalekie nawoływania ptaka i szum jeszcze bardziej oddalonej rzeki, Hank stawał przy drzwiach z siatki i patrzył na Febusa, wielkiego rudego kocura, który siedział na werandzie i obserwował wejście. Febus wiedział, że jeszcze nie pora na jedzenie

i Hank nie wpuści go do domu, pewnie zresztą **wiedział** dlaczego: gdyby się dostał do kuchni, zacząłby się drwić, a potrafił się wydzierać jak konduktor w pociągu, i **ta** byłby koniec porannego snu Marion. Nie żeby Ilmili Bruton wyjątkowo dbał o jej poranny sen, ale po prostu; tu lubił spędzać wczesne ranki samotnie, w ciszy, bez żadnych odgłosów — zwłaszcza bez głosu Marion.

Spojrzał na kota i Febus ziewnął, wydając dźwięk pełen goryczy, niezbyt głośny, żeby tylko dać do zrozumienia, że się nie da oszukać.

— Stul pysk — powiedział Hank.

Febus usiadł, podniósł wysoko tylną łapę i zaczął czyścić sierść. W połowie tej czynności zatrzymał się z łapą nadal wyciągniętą i spojrzał na Hanka w sposób rozmyślnie obraźliwy.

— Stara sztuczka :— powiedział Hank. — Koty **znają** ją od dziesięciu tysięcy lat.

Mimo to była skuteczna. Może trzeba być całkowicie pozbawionym wstydu, żeby być dobrym komikiem. To jest myśl. Chyba powinien ją zapisać. Zresztą nie warto. Jeżeli Hank Bruton wpadł na tę myśl, ktoś na pewno dawno już ją zanotował. Zdjął z płytki azbestowej dzbanek z kawą i czekał, aż zasyczy. Potem nalał filiżankę, dodał odrobinę zimnej wody i wypił duszkiem. Do następnej filiżanki dołał mleczka, osłodził i powoli pił małymi łykami. Nerwowe mdłości w żołądku ustąpiły, ale mięśnie nóg wciąż mu dokuczały.

Zmniejszył płomień pod płytką azbestową i znów postawił na niej kawę. Wyszedł z domu frontowymi drzwiami i bosy zszedł z drewnianej werandy na mokrą od rosy trawę. Dom był stary, niepozorny, ale **otaczał** go rozległy trawnik, który dawno by już należało przyszczyć, wokół trawnika zaś rosło mnóstwo niewielkich sosen z wyjątkiem tej strony, co prowadziła w dół rzeki. Niepokazny dom i wszędzie cholernie stąd daleko, ale za trzydzieści pięć dolarów miesięcznie to oka-

ja. Powinni się go trzymać. Jeżeli mają do czegoś dojść, to chyba właśnie tu.

Ponad sosnami widział półkole niskich wzgórz ze zboczami do połowy spowitymi mgłą. Słońce niebawem z nią się upora. W powietrzu czuło się chłód, ale chłód łagodny, nie przejmujący. Można tu żyć, pomyślał Hank. Z pewnością dość dobre miejsce dla pary niedoszłych pisarzy, nad których talentem dominuje głód. Człowiek powinien móc tu mieszkać, nie upijając się co wieczór. Człowiek pewnie mógłby. Ale człowiek przypuszczalnie nigdy by się tu nie znalazł. Idąc w dół ku rzece Hank usiłował przypomnieć sobie, co to niezwykle zdarzyło się poprzedniego wieczoru. Nie przypominał sobie, miał jednak wrażenie, że doszło do jakiegoś starcia. Prawdopodobnie powiedział coś o drugim akcie sztuki Marion, ale nie pamiętał co. Nie mogło to być nic pochlebnego. Ale po co by miał kłamać na temat jej choleryjnej sztuki? Poprawianie nic nie daje. Mówienie Marion, że sztuka jest dobra, kiedy dobra nie jest, nie posuwa jej nawet o krok. Pisarze powinni patrzeć sobie prosto w oczy i jeżeli nic tam nie widzą, muszą o tym szczerze powiedzieć.

Zatrzymał się i pomasaował brzuch. Między drzewami prześwitywała stalowoszara woda, ogromnie lubił ten widok. Wzdrygnął się wiedząc, jaka będzie zimna, równocześnie wiedząc, że to właśnie w niej lubi. Przez kilka sekund zdawało się, że człowieka zabije, ale nie zabijała, a potem człowiek czuł się cudownie, chociaż nie na długo.

Dotarł do brzegu, położył ręcznik i tenisówki, które przyniósł, zdjął koszulę. Nikogo tu nie było. Jak zawsze przy, tej okazji pomyślał, że chciałby mieć psa, który by skakał mu wokół nóg, szczekał i pływał razem z nim, ale nie sposób mieć psa, skoro jest Febus, za stary i zbyt zacięty, żeby psa tolerować. Albo zrobiliby z nim porządek, albo pies przyłapałby go w chwili nieuwagi

i urwał mu łeb. Zresztą byłby to niezwykle pies, gdyby chciał wejść do tej lodowatej wody. Hank musiałby go wrzucić. Pies by się przestraszył, prąd by go uniósł i Hank musiałby go wyciągać. A czasem z trudem sam wydostawał się na brzeg.

Zdjął spodnie i skoczył pod prąd uderzając brzuchem o taflę wody. Rozwścieczona olbrzymia łapa chwyciła go za pierś i wycisnęła z niego powietrze. Druga ogromna łapa pociągnęła go za nogi w przeciwnym kierunku, popłynął więc w dół rzeki zamiast w górę, nie mogąc złapać tchu i usiłując krzyczeć, ale nie będąc w stanie wydać żadnego dźwięku. Z furją walił w wodę, obróciło go, przez chwilę wytrzymywał nacisk prądu, a potem wyczerpując wszystkie siły zaczął się posuwać nieznacznie w górę. Dotarł do brzegu, chociaż nie do tego miejsca, z którego skoczył. Od roku już mu się nie udało. Whisky... Ale to i tak nieduża cena, którą za nią płacił. A gdyby tak pewnego ranka nie dopłynął do brzegu, wciągnęła go woda, uderzył się o kamień i utonął..

— Słuchaj — powiedział na głos, wciąż jeszcze zdyszany. ■— Nie będziemy w ten sposób zaczynać dnia. Tak nie można.

Ostrożnie przeszedł kamienistym brzegiem, podniósł rącznik i energicznie wycierał ciało. Z wolna zaczął odczuwać ciepło i ulgę. Mrówki w mięśniach znikły. Splot słoneczny wcale już nie drgał.

Ubrał się, włożył, tenisówki i ruszył znów pod górę. Idąc gwizdał melodię z jakiejś symfonii. Usiłował sobie przypomnieć tytuł, a kiedy sobie przypomniał, zaczął myśleć o kompozytorze, o jego życiu, trudach, cierpieniach, a teraz biedaczysko już nie żył, zgnił pod ziemią, jak tylu innych mężczyzn, których Hank znał podczas wojny.

Typowe dla kiepskiego pisarza, pomyślał. Nigdy sama substancja, zawsze tylko tanie wzruszenia, które kł"o z nią wiążą.

Febus wciąż siedział na werandzie przy kuchni, ale teraz dał się jak opętany, co znaczyło, że Marion już wstała. Była w kuchni, ubrana do wyjścia, na wierzch włożyła fartuch.

— Dlaczego nie zaczekałaś, aż wrócę? Przyniosłbym ci kawę na górę.

Nie odpowiedziała i nie spojrzała na niego. Utkwiła oczy w kącie, jakby zobaczyła tam pajęczynę.

— Dobrze ci się pływało? — spytała zdawkowo.

— Wspaniale. Ale piekielnie zimna ta nasza rzeczka.

— Świetnie. Fantastycznie. Wspaniale. Cudowny powrót do zdrowia. Nawet jeżeli po pewnym czasie staje się to monotonne. Daj jeść temu cholernemu kotu, dobrze?

— Co u licha, odkąd to biedny stary Febus stał się cholernym kotem? Myślałem, że jest tutaj świetlaną postacią. Przez to, że się nie zalewa.

— ■ „Powiedział z czarującym uśmiechem” — zadrwiła Marion.

Hank spojrzał na nią z namysłem. Miała gładko zaczesane, krótkie, czarne włosy. Błękit oczu był intensywniejszy niż u Hanka. Małe, wyraźnie zarysowane usta, które wydawały mu się kuszące, nim doszedł do wniosku, że zdradzają skłonność do irytacji. Ładna, zgrabna kobieta, budowy raczej wiotkiej. Kruchość koczicy, pomyślał Hank. „Jestem w typie Dorothy Parker — ■ tylko bez jej dowcipu”, powiedziała Hankowi, kiedy się poznali. Wydało się to Hankowi urocze. Żadne z nich nie zdawało sobie wówczas sprawy, że powiedziała szczerą prawdę.

Hank otworzył drzwi, Febus wpadł, rozdzierając na strzępy powietrze dzikimi wrzaskami. Hank otworzył puszkę, nałożył sporo jedzenia na spodek i postawił koło zlewu. Marion bez słowa odstawiła filiżankę, podniosła spodek i zdjęła połowę jedzenia. Otworzyła drzwi i wys-

tawiła spodek na werandę. Febus skoczył do spodka, jak napastnik do piłki. Marion z trzaskiem zamknęła drzwi.

— Dobra. Na drugi raz będę pamiętał — powiedział Hank.

— Na drugi raz możesz mu dawać jeść, jak ci się żywnie podoba. Mnie tu nie będzie — odparła Marion.

— Rozumiem —■ powiedział wolno Hank. — Aż tak było źle?

— Nie gorzej niż zwykle. Ale i za to dzięki, że nie mówisz „znów”. Ostatnim razem, kiedy odeszłam... — urwała i głos jej się lekko załamał. Hank zrobił krok w jej kierunku, ale już się opanowała.

— Zrób sobie śniadanie. Muszę spakować resztę rzeczy. Spakowałam większość w nocy.

— Powinniśmy o tym porozmawiać — powiedział spokojnie Hank. Obejrzała się, będąc już w drzwiach.

— No, pewnie — głos jej brzmiał twardo, nieustępliwie. — Możemy poświęcić tej sprawie dziesięć czarnych minut, jeżeli ci się spieszy. —■ Wyszła. Słychać było stukot obcasów na schodach.

„Rzekła, obejrzawszy się już w drzwiach”, pomyślał Hank patrząc na drzwi, którymi wyszła.

Obrócił się na pięcie i wyszedł z domu. Febus węszył wokół spodka szukając jedzenia, które strącił na podłogę. Hank nachylił się i pomógł mu zebrać rozsypane resztki. Potem podrapał go po stalowoszarym łbie. Febus przestał jeść i czekał sztywno, aż Hank zabierze rękę. Dopiero potem wrócił do jedzenia.

Hank szarpnięciem otworzył rozsuwane drzwi garażu i obejrzał dokładnie opony Forda. Były zniszczone, ale powietrze z nich nie uciekło. Samochód był mocno zakurzony. Jestem pisarzem, pomyślał Hank. Nie mam czasu na drobne roboty domowe. Ominął przód samochodu i poszedł do ciemnego kąta, w którym leżały stare worki. Pod workami miał pół kamionki kukurydzianej whisky. Wyciągnął gruby korek i zgodnie ze zwy-

czajem podniósł ciężką kamionkę na przedramię. Stał chwilę trzymając ją niczym ciężarówiec. Wreszcie pociągnął długi łyk, zakorkował kamionkę i schował z powrotem pod worki.

Właściwie nie czuje najmniejszej potrzeby, powiedział sobie i prawie w to uwierzył. Ale będzie miała satysfakcję, kiedy poczuje zapach alkoholu. Marion lubi zawsze mieć rację.

Stał pośrodku bawialni, kiedy zeszła na dół. W ustach trzymała papierosa. Była na pozór zupełnie spokojna. Sprawiała nawet wrażenie osoby kompetentnej i zasadniczej, chociaż meble w pokoju przeczyły tej diagnozie. Stali i patrzyli na siebie, gdy tymczasem Hank napelniał fajkę.

— Pociągnęłaś sobie? — spytała bez cienia wyrzutu.

Skinął głową i zapalił wreszcie fajkę. Oczy ich spotkały się znowu. Marion usiadła powoli na oparciu wiklinowej kanapy, która zaskrzypiała lekko. Za oknem rozległ się nagle urywany śpiew ptaka, a potem gniewny szczebiot, co pewnie oznaczało, że Febus odbywa poranną przechadzkę nie opodal gniazda.

— Samochód jest w porządku. Czy chcesz zdążyć na dziesiątą pięć?

■ — Dziesiątą jedenaście — skorygowała Marion. — Tak, na ten właśnie. Nie ma sensu mówić, że jest mi przykro. Nie jest mi przykro. Im dalej stąd odjadę, tym dla mnie lepiej. Każda mila to będzie czysty zysk.

Hank patrzył na nią oczami bez wyrazu.

— Nie chcę żadnego z tych gratów — powiedziała wskazując używane staromodne meble, na które z wielkim trudem zebrali pieniądze. — Nie chcę nic z tego domu. Poza ubraniem. Zabieram swoje ciuchy i wynoszę się.

Oczy Marion powędrowały w kąt pokoju do biurka masywnej konstrukcji z nie heblowanego drewna z cienkimi nogami i płóciennym pokrowcem przybitym

do nie malowanych desek, które tworzyły blat. Spojrzała na stary Underwood, czysty papier, Ołówki i oznakowane czerwonymi literami kremowe pudło, zawierające to, co Hank zdołał dotychczas stworzyć[^]

A zwłaszcza nie chcę tego zabytku — powiedziała wskazując na biurko. — Zatrzymaj go sobie. Kiedy napiszesz powieść, możesz na obwolucie umieścić zdjęcie tego wykwintnego chippendale'a z epoki neandertalskiej zamiast swojej podobizny. Bo do tego czasu nie będziesz już dobrze wychodził na zdjęciach. Chyba, że potrafią sfotografować twój chuch. Gdyby im się to udało, mieliby wizerunek naprawdę wyrazisty. Potarła szybkim ruchem czoło.

— Znowu gadam jak idiotyczna pisarka — mruknięła i zrobiła gest, który mógłby wyrażać rozpacz, gdyby nie był pełen zażenowania.

— Mógłbym przestać pić — powiedział wolno Hank poprzez kłęby dymu.

Spojrzała na niego z wymuszonym uśmiechem.

— O, naturalnie. I co potem? Nie jesteś mężczyzną. Jesteś idealnym okazem zapitego eunucha. Żywy trup w szczytowej formie. Nieboszczyk z najzupełniej normalnym ciśnieniem. •

— Powinnaś to zanotować — rzekł Hank.

■— Bądź spokojny, zanotuję.

Oczy jej stały się teraz błyszczące i złe. Nie widać już w nich było ani odrobiny błękitu.

— A o mnie niech cię głowa nie boli. Znajdę sobie pracę. W reklamie czy w prasie. Co za problem. Zawsze coś znajdę. Może nawet napiszę tę sztukę, którą miałam zamiar napisać tutaj, w tych pięknych lasach, w tej cudownej ciszy nie zmałowanej niczym prócz stalego bulgotu flaszki whisky.

— Do chrzanu — powiedział Hank.

Oczy Marión cisnęły iskry.

— **Co?**

— Dialog. I za długi. Aktorzy w dzisiejszych czasach nie przemawiają do publiczności. Rozmawiają ze sobą.

— Ja mówię do ciebie — odparła Marion.

— Nieprawda — rzekł Hank. — Nieprawda.

Wzruszyła ramionami. Hank nie był pewien, czy Marion wie, o co mu chodzi, czy rozumie, że chce jej oględnie powiedzieć, jak tyle razy przedtem, że z literackich wymyślonych kawałków nie można zrobić sztuki teatralnej. Takiej sztuki, jakie się teraz wystawia.

— Nikt nie mógłby tu napisać sztuki. Nawet O'Neill. Ani Tennessee Williams. Ani Sardou. Wymień kogoś, kto potrafiłby tutaj napisać sztukę. Kogokolwiek. Tylko wymień, a powiem, że to kłamstwo.

Hank spojrzał na zegarek.

— Nie wyszłaś za mnie po to, żeby napisać sztukę — powiedział łagodnie. — Ani ja nie ożeniłem się z tobą, żeby napisać powieść. Sama zresztą kiedyś nieźle pościagałaś, pamiętasz? Była taka noc, kiedy urwał ci się film i musiałem cię rozebrać i położyć do łóżka.

— Musiałeś?

— Dobrze, niech ci będzie. Chciałem.

— Wtedy jeszcze miałam cię za świetnego faceta.

Jeżeli nawet było to romantyczne wspomnienie, nie zrobiło na niej żadnego wrażenia.

— Byłeś dowcipny, miałeś wyobraźnię i jakąś piracką wesołość. Ale wtedy nie musiałam jeszcze patrzeć, jak pijesz do utraty przytomności, i spędzać bezsenne noce, słuchając twojego chrapania. — Mówiła teraz głosem jakby lekko zdyszany. — A najgorsze ze wszystkiego... albo prawie najgorsze...

— My, pisarze, musimy wszystko precyzować — szepnął Hank do swojej fajki.

— ...jest to, że rano nie masz nawet kaca. Nie budzisz się z oczami jak szparki i głową jak bania. Uśmiechasz się tylko i zaczynasz wszystko od nowa. Jesteś urodzonym pijakiem, stworzonym do życia w oparach

alkoholu, czujesz się w nich, jak salamandra w ogniu.

— Tak sobie myślę, że to ty może powinnaś pisać powieść, a ja sztukę — powiedział Hank.

Głos Marion nabrał historycznych akcentów.

— Wiesz, jak kończą tacy faceci, jak ty? Pewnego pięknego dnia rozlatują się na kawałki, jakby trafił ich pocisk. Przez całe lata nie widać żadnych zmian. Upijają się co wieczór i rano znów zaczynają pić. Czują się doskonale. Nic im picie nie szkodzi. Ale przychodzi taki dzień, w którym naraz dzieje się wszystko, co u normalnego człowieka powinno następować stopniowo krok po kroku, miesiąc po miesiącu, rok po roku. W jednej chwili widzisz człowieka zdrowego, a już w następnej pomarszczoną zmrę cuchnącą whisky. Chciałbyś, żebym na to czekała?

Wzruszył lekko ramionami, ale nie odpowiedział. To, co mówiła, nie miało dla niego znaczenia, nie czuł nawet, że go dotyczy. Jak gdyby słyszał w ciemnościach jednostajny monolog nieznaney osoby ukrytej za drzwiami, której nigdy nie miał ujrzeć. Spojrzał znów na zegarek i Marion wstała gasząc papierosa.

— Przyprawdę samochód — powiedział Hank i wyszedł z pokoju. Powiedziała, co miała powiedzieć, to było najważniejsze. Nie spała w nocy, wykoncypowała sobie wszystko i ułożyła w słowa, wypróbowała w ciszy, a teraz wyrecytowała i osiągnęła cel, czyli dramatyczną scenę. Pomyślał, że monolog mógł być trochę lepszy, a na pewno krótszy, ale mniejsza o to, ostatecznie są tylko dwójgim pisarzy.

3

Pociągnął znów z kamionki, nim wyprowadził samochód z garażu. Kiedy podjechał pod wejście frontowe, Marion stała w rogu werandy, patrząc gdzieś ponad wierzchołki drzew. Słońce świeciło nad stokami wzgórz,

mgła znikła. Jednakże na tej wysokości wciąż jeszcze było chłodno. Marion włożyła na ciemne włosy nietwarzowy kapelusik, usta zaciśnięte na papierosie przypominały kleszcze zaciśnięte na sworzniu. Hank bez słowa wszedł do domu. Na piętrze stały dwie walizki, torba podróżna, pudło na kapelusze i zielony kuferek z mosiężnymi okuciami. Zniósł to wszystko na dół i wpakował na tylne siedzenie samochodu. Marion siedziała już z przodu.

Hank usiadł za kierownicą, zapalił i ruszyli w dół ścieżką usypaną żwirem do polnej drogi wijącej się przez sześć mil wzdłuż rzeki, potem skręcili u podnóża góry do małego miasteczka, przez które przechodziła linia kolejowa. Marion spojrzała na rzekę i powiedziała:

— Lubisz zmagać się z tą rzeką? Czy to niebezpieczne? •

— Jeżeli ma się zdrowe serce, to nie.

— Dlaczego nie zmagasz się z czymś, z czym warto?

— O, Boże — powiedział Hank.

Marion rzuciła mu ostre spojrzenie, potem wbiła wzrok w zakurzoną przednią szybę.

— Za rok zapomnę, że w ogóle istniałeś — powiedziała. — To trochę smutne. Ale jak długo ma taki facet jak ty marnować życie kobiety?

' Głos jej się załamał. Hank wyciągnął rękę i poklepał ją po ramieniu.

— Nie przejmuj się — powiedział. — Kiedyś wszystko to opiszesz w książce.

— Nawet nie wiem, dokąd mam pojechać — szlochała.

Jeszcze raz poklepał ją po ramieniu i tym razem nie powiedział nic. Nie odzywali się do siebie, dopóki nie zajechali na stację. Hank zaniósł rzeczy i postawił blisko torów. Chciał nadać kuferek na bagaż, ale Marion powiedziała, że zrobi to sama.

— Posiedzę w samochodzie, dopóki pociąg nie ruszy — powiedział Hank.

Ucisnął jej ramię, ona odwróciła się i odeszła. Dość długo siedział w samochodzie, zanim przyjechał pociąg. Bardzo już chciałby się napić. Myślał, że Marion przynajmniej obejrzy się i pomacha mu ręką, kiedy wsiądzie do pociągu. Ale nie obejrzała się. Niepotrzebnie czekał. Mógł już dawno być w domu i pociągać spokojnie z kamionki. Czekanie było próżnym gestem. Gorzej nawet, było pozbawione jakiegokolwiek szyku. Bez ruchu patrzył, jak pociąg znika. To również było zbędne i nieeleganckie.

4

Kiedy wrócił do domu, słońce już przygrzewało, a lekki wietrzyk poruszający trawę był też gorący. W jego powiewie drzewa szeptały, mówiły Hankowi, że jest śliczny dzień. Wszedł wolno do domu i stał czekając, aż go otoczy cisza. Ale dom wcale się nie wydawał bardziej pusty niż przedtem. Jakaś mucha bzyczała, ptak trajkotał na drzewie. Wyjrzał przez okno, żeby zobaczyć, co to za ptak. Jako pisarz powinien był wiedzieć, ale nie dojrzał ptaka, a zresztą nic go ten ptak nie obchodził.

— Gdybym chociaż miał psa — powiedział głośno i czekał, aż odezwie się ponure echo. Podeszedł do masywnego biurka, zdjął pokrywkę z pudła i przeczytał stronę tytułową rękopisu, nie biorąc jej do ręki.

— Pastisz — orzekł niechętnie. — Wszystko, co piszę, brzmi jak tekst, który autentyczny pisarz wrzuciłby do kosza.

Wyszedł z domu, żeby odstawić samochód do garażu. Zrobił to w gruncie rzeczy tylko dlatego, że była tam kamionka z whisky. Przyniósł ją do domu i postawił na biurku. Wyjął z szafy kieliszek i postawił przy kamion-

ce. Potem usiadł i wpatrywał się w nią. Mógł teraz pić bez przeszkód i dlatego może nie miał tej potrzeby. Czuł w sobie pustkę, ale nie taką, którą może wypełnić kieliszek alkoholu.

Nawet jej nie kocham, pomyślał. Ani ona mnie. Nie ma tragedii, prawdziwego smutku, została tylko pustka. Pustka pisarza, któremu nie przychodzi do głowy nic, co by mógł napisać, pustka okropna i bolesna, ale jakoś nie mająca w sobie nic z tragedii. Boże, jesteśmy najbardziej bezużytecznymi ludźmi na świecie. W dodatku, musi nas być cholernie dużo, wszyscy samotni, wszyscy spustoszeni, wszyscy biedni, wszyscy zżerani drobnymi parszywymi troskami, którym brak choćby odrobiny powagi. Wszyscy niczym ludzie, co ugrzęźli w błocie, usiłujemy wyznaczyć stopą kawałek suchego gruntu, przez cały czas wiedząc, że nie będzie żadnej różnicy, jeżeli go nawet namacamy. Powinniśmy zorganizować gdzieś zjazd, na przykład w Aspen w stanie Kolorado, gdzieś, gdzie powietrze jest czyste, ostre i rześkie i gdzie moglibyśmy grać ze sobą w piłkę naszą niewielką, wtórną inteligencją, odbijając ją naszymi małymi sztywnymi umysłami. Może choćby przez krótki czas czulibyśmy się tak, jak gdybyśmy naprawdę byli utalentowani. Wszyscy niedozli pisarze z całego świata, mężczyźni i kobiety, którzy mają wykształcenie, zapal, pragnienia, nadzieje i nic poza tym. Wiedzą doskonale, jak trzeba pisać, tylko sami tego nie potrafią. Uczyli się pilnie, studiowali wszystko, co się dało, i w pocie czoła naśladowali każdego, komu się powiodło, kto kiedykolwiek odniósł sukces.

Jakimż świetnym, żwawym zbiorowiskiem nicości bylibyśmy, pomyślał. Wyostrzylibyśmy się nawzajem jak brzytwy. W powietrzu rozlegałyby się wciąż trzaski naszych pękających marzeń. Ale kłopot w tym, że nie trwałoby to długo. Zjazd się kończy, musimy wracać do domów i siedzieć przed tą cholerną kupą

metal, która odbija słowa na papierze. Tak, siedzimy i czekamy, niczym skazaniec w celi śmierci.

Podniósł butelkę i zapominając o kieliszku pociągnął z niej zwykłą swoją techniką ciężarowca. Alkohol był ciepły, kwaśny i tym razem niewiele pomógł. Hank nadal rozmyślał o tym, że jest pisarzem bez talentu. Po dłuższym czasie zaniósł kamionkę z powrotem do garażu i schował pod stos worków. Zza rogu wyszedł Febus trzymając w pysku wielkiego zabrudzonego pasikonika. Wydawał pomruki niezadowolenia. Hank nachylił się, otworzył kotu szczęki i uwolnił pasikonika. Brakowało mu wprawdzie jednej nogi, ale ruszał się rażno. Febus spojrział na Hanka udając, że jest głodny. Hank wpuścił więc go do kuchni.

— Siadaj, gdzie chcesz — powiedział do kota. — Dom należy do ciebie.

Dał Febusowi trochę jedzenia, ale wiedział, że kot wcale nie chce jeść, i rzeczywiście nie chciał. Hank usiadł więc przy biurku i wsadził do maszyny kartkę papieru. Po chwili Febus usadowił się przy nim na biurku i wyglądał przez okno.

— Mężczyzna nie pracuje w dniu, w którym opuszcza go żona, prawda, Febus? Robi sobie wolny dzień.

Febus ziewnął. Hank podrapał go po łebku koło ucha i kot zamruczał zgrzytliwie. Hank przejechał mu palcami po grzbiecie i Febus z zadziwiającą siłą wyprężył się pod jego ręką.

— Kawał drania z ciebie, kawał starego łobuza, co, Febus? Powiniennem napisać o tobie opowiadanie.

Popołudnie wolno mijało. Wreszcie zaczęło się zmierzchać, ale pustka wciąż go nękała. Febus najadł się i zasnął na kanapie. Hank usiadł na ganku i obserwował muszki tańczące w promieniu zachodzącego słońca. Na chwilę przed wylotem komarów usłyszał nadjeżdżający samochód. Warkot był nierówny. Przypominał stary samochód Simpsona. Potem zobaczył wóz w od-

dali na drodze i okazało się, że miał rację. Poznał go po rozbitym błotniku. Prawie się nie zdziwił, kiedy auto skręciło na podjazd i zawróciło koło schodów. Stary Simpson siedział bez ruchu trzymając na kierownicy żylaste ręce, łzawiącymi oczami wpatrywał się przed siebie. Poruszył wargami i splunął. Nie odwrócił nawet głowy, kiedy Marion wysiadła.

— Zapłaciłam panu Simpsonowi — powiedziała.

Hank bez pomocy starego Simpsona wyciągnął z samochodu jej rzeczy. Zaraz potem Simpson zwolnił sprzęgło i ruszył bez słowa, nie spojrzawszy nawet w ich kierunku.

— Dlaczego jest taki wściekły? — zapytał Hank.

— Wcale nie jest wściekły. Po prostu nas nie lubi. Przepraszam, że zmarnowałam tyle pieniędzy, Hank — powiedziała, jakby przyznając się do porażki. — Chyba nie dziwisz się, że wróciłam?

— Nie byłem pewien, czy wrócisz.

Potrząsnął niepewnie głową. Zaczęła płakać, a Hank objął ją ramieniem.

— Nic mi nie przychodzi do głowy, ani jedno miejsce, do którego chciałabym pojechać — szlochała. — Wszystko wydało mi się bez sensu. — Zrzuciła kapelusz uwalniając włosy. — Wszystko całkowicie i doszczętnie bez sensu. Ani dobrych wspomnień, ani złych wspomnień, tylko zwietrzałe uczucia.

Hank skinął głową i patrzył, jak ona ociera oczy i przywołuje na usta słaby zakłopotany uśmiešek.

— Hemingway wiedziałby, dokąd pojechać — powiedziała.

— Oczywiście. Pojechalby do Afryki i zastrzelił lwa.

— Albo do Pamplony i zastrzelił byka.

— Albo do Wenecji i nie zastrzeliłby nic — powiedział Hank i oboje się uśmiechnęli. Podniósł walizki i ruszył po schodach werandy.

— A gdzie Febus? — zawołała za nim.

— U mnie na biurku. Pisze opowiadanie. Na chyb- cika, żeby było na komorne.

Wbiegła za nim i chwyciła go za rękę. Z westchnie- niem postawił walizki na ziemi i odwrócił się do niej. Chciał być dobry i wyrozumiął, ale wiedział, że nic, co mówili przedtem albo powiedzą teraz czy w przysz- łości, nie ma żadnego znaczenia. To tylko pogłosy, echa.

— Hank — powiedziała z rozpaczą Marion. — Czuję się okropnie. Co z nami będzie?

— Nic specjalnego — odrzekł. — Czemu miałyby coś być? Jeszcze przez pół roku jakoś sobie poradzimy.

— Nie chodzi o pieniądze. Twoja powieść., moja sztuka... Co z nimi będzie?

Coś go ścisnęło w żołądku, bo znał odpowiedź i Ma- rion również ją znała, i nie było sensu udawać, że jest to wciąż jeszcze nie rozstrzygnięty problem. Nie polega on nigdy na tym, jak osiągnąć coś, o czym się wie,- że jest nieosiągalne. Problem polega na tym, żeby przes- tać się zachowywać tak, jakby to coś było tuż za zakrę- tem, jakby czekało, żeby je znaleźć, ukryte w krzakach albo pod stertą zeschniętych liści, ale jakby istniało, praw- dziwe, realne. Tego czegoś nie ma i nigdy nie będzie. Po co więc nadal udawać, że jest?

— Moja powieść jest do niczego — powiedział ci- cho. — Twoja sztuka też.

Z całej siły uderzyła go w twarz i wbiegła do domu. Omal nie przewróciła się na schodach. Za chwilę, gdy- by posłuchał uważnie, usłyszałby jej płacz. Nie chciał słuchać, zszedł więc z werandy, poszedł do garażu i dźwignął kamionkę spod stosu worków. Pociągnął je- den długi łyk, opuścił kamionkę, zakorkował i schował znów pod worki.

Zamknął drzwi garażu i wsadził na miejsce drewnia- ny kołek. Zapadł zmrok i przestrzeń między drzewami była czarna i głęboka.

— Chciałbym mieć psa — powiedział w ciemność. —

Dlaczego wciąż o tym myślę? Widocznie potrzeba mi kogoś, kto by mnie podziwił.

Kiedy wszedł do domu, nasłuchiwał przez chwilę, ale nie słyszał płaczu. Doszedł do połowy schodów i zobaczył światło, wiedział więc, że już się uspokoiła. Kiedy stanął w drzwiach, rozpakowywała torbę podróżną. Gwizdała cicho przez zęby.

— Pociągnąłeś sobie, co? — rzuciła nie podnosząc głowy.

— Jeden łyk. Wypiłem toast. Za „Złamane serce”. Wyprostowała się gwałtownie i spojrzała na niego spod rozwichrzonych ciemnych włosów.

— Miło z twojej strony — odrzekła zimno. — Twoje serce czy moje?

— Żadne — odpowiedział. — To po prostu tytuł, który mi przyszedł do głowy.

— Czego tytuł? Opowiadania?

— Powieści, której nie napiszę — powiedział.

— Jesteś zalany — powiedziała Marion.

—■ Nie jadłem obiadu.

— Przepraszam, że cię uderzyłam, Hank.

— Nic nie szkodzi. Sam bym to zrobił, gdybym o tym pomyślał.

Odwrócił się na pięcie i zaczął schodzić ze schodów, lekko, krok po kroku, nie dotykając poręczy, minął hall, wyszedł za drzwi, które same cicho się za nim zamknęły, zszedł z werandy ostrożnie i pewnie, stopień po stopniu, potem ze zgrzytem żwiru pod butami obszedł dom w swej nie kończącej się, nieuchronnej wędrówce z powrotem do kamionki, ukrytej pod stosem worków.